

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (9) (FRAGMENTY)



Nasz przewodnik, zatrzymując się przy zdjęciach Singapuru z XIX wieku i z pierwszej połowy XX wieku, przyznaje bez ogródek, że Chińczycy z tamtych lat mieli okropne maniere: obsikowali podwórka, opluwali się na przystankach, wyrzucali śmieci przed dom, gdyby więc nie surowe restrykcje wymyślone przez twórcę współczesnego Singapuru Lee Kuan Yewa, trudno byłoby wycięć tamte rażące praktyki. Ciasnota ulic, brak toalet, gazu, wodociągów, głód, opalanie w piecach drewnem, a więc i częste pożary w dzielnicy China Town, to była ówczesna codzienność. Sing Choin Mee opowiada też, że w porze monsunowej ulice pływały w błocie, a dzieci taplały się po kolana w kałużach.

A jak było w innych dzielnicach? Na pewno nie lepiej, jeśli zważyć, że na tej wyspie dominują Chińczycy. Stanowią niecałe 80 proc. mieszkańców Singapuru, gdy Malajów jest niecałe 14 proc., Hindusów 6 proc., a pozostali (w tym też Europejczycy) to zaledwie 1 procent. Pierwsi Chińczycy krzyżowali się z Malajami i tak powstawała specyficzna mieszanka kulturowa i rasowa Peranakan.

Wracając zaś do jedzenia, to polski przedsiębiorca Wojtek Kędziora mieszkający tu już siedem lat, przedstawiciel Huty Stalowa Wola, która handluje w Azji przede wszystkim buldożerami i innymi maszynami automatycznymi, chwalić pracowitość Singapurczyków zatrudnionych w firmie opowiada, że z jednym absolutnie nie mogli się pogodzić, z przesunięciem pory lunchu:

– Oni muszą jeść o określonej porze, gdy im próbowałem przesunąć o godzinę porę lunchu, popatrzyli na mnie jak na wariata. Pracować, pracować, pracować i jeść, jeść, jeść. Pracują do osiemnastej, dziewiętnastej, jedzą tyłem, że to przechodzi ludzkie pojęcie. Witają się ze sobą, nie mówiąc „Jak zdrowie?” czy „Jak się czujesz?”, tylko: „Czy już jadłeś?”

Jak opisać wrażenie lekkości, lotności tych wieżowców, które składają się na jedno z najpiękniejszych może miast wymyślonych współcześnie przez architektów? Jak wiadomo, Singapur,

jako wyspa, nie może się rozrastać wszcz. Musi rosnać wżwyż, żeby zmieścić cztery i pół miliona mieszkańców. Jest drugim najgęściej zaludnionym państwem świata.

Przy wznoszeniu nowych dzielnic posilkowano się często zasadami feng shui. Np. pięć wieżowców o nazwie Suntec City przypomina otwartą dłoń: cztery budynki są wyższe od piątego, symbolizującego kciuk. Środek „dłoni” to jedna z większych w świecie fontann, z której woda tryska kilkadziesiąt metrów w górę. Dookoła fontanny usytuowano znaki chińskiego zodiaku z opisami charakterystycznych dla nich cech, a dopełnieniem całości jest park z miniaturowymi drzewkami bon-sai. Żeby nałapać pozytywnej energii, trzeba kilkakrotnie okrążyć fontannę i zanurzyć dłoń w wodzie, co podobno wzmacnia. Przesąd? Zapewne. Ale nie tylko, bo stosowanie się do zasad feng shui, czyli nauki o harmonijnym kształtowaniu przestrzeni, ma wpływ na lekkość i lotność budynków. Wieczorami wydaje się, że drapacze chmur to ogromne transatlantyki płynące między obłokami. Rano panorama Singapuru przypomina startujące do lotu rakiety ze szkła, betonu i aluminium. Niekiedy wydaje się, że te blokowiska z tysiącem okienek, w których zatknięte są drążki z suszącym się praniem, wyrastają jak liany z nieba i opuszczają się ku ziemi. Z naszego apartamentu w hotelu Fraser Suites roztacza się dookólny widok na inne dachy, wieżyczki, tarasy, dźwigi o sztychach zyraf, zwiędzające nowe, nieukończone jeszcze budowle. W Singapurze wyburza się z łatwością całe dzielnice i wznosi wciąż nowe. Podobno wychodzi to taniej, niż gdyby remontowano stare budynki. Używa się specjalnych dźwigów, rozbiierających od góry segment po segment.

Wrażenie lekkości wieżowców ma też zapewne związek z jasnymi kolorami elewacji – beżami, kremami, brązami, kolorami morskimi. Ich korpusy mają najprzeróżniejsze kształty: strzeliste, walcowate, kwadratowe, prostokątne.

Niekiedy, gdy patrzę z wysokości XX piętra na kolejne warstwy piętrzących się drapacze chmur, przypominają mi się zamglone łańcuchy górskie hen oddalające się na nieboskłonach.

W dole trwa mrówcza krzątania ludzi, aut, światła, a wszystko doskonale funkcjonuje. Jak znakomite państwo termitów, stworzone w umyśle małego boga tego miastopństwa Lee Kuan Yewa. Wyobrażam sobie, że kiedy podchodzi do okna i patrzy na cały Singapur, rozpięta go wewnętrzna duma: proszę, to moja ucieleśniona idea, która wyrosła w przeciągu półwiecza, oto mój świat, który stworzyłem, moje dzieło nie do podrobienia!

Nieprzeprowadzony wywiad z makakami

– Jeszcze pół wieku temu, wszędzie, gdzie są teraz wieżowce, były tylko mokradła i mangrowce – opowiada taksówkarz wiozący nas do Bukit Timah. Ten 180-hektarowy rezerwat przyrody jest jedyną pozostałością lasów deszczowych, które pokrywały kiedyś całą wyspę.

Mówi: – Singapurczycy z początku zachłysłeni się budownictwem ze szkła, żelaza, i betonu, ale po

jakimś czasie zrozumieli, że jednak muszą istnieć w mieście oazy zieleni, podobnie jak nie należy się całkowicie wyzywać zabytków, bo turyści w poszukiwaniu autentycznego Orientu udadzą się gdzie indziej. Uświadomiwszy sobie to, stworzyli specjalny program restauracji zabytków i przygotowania dla turystów różnych atrakcji. Zainwestowano wiele milionów dolarów w parki.

Pyta nas, czy byliśmy w Parku Ptaków Jurong z chmarą różnokolorowych papug. A czy widzieliśmy już jeden z największych ogrodów zoologicznych świata, gdzie zwierzęta żyją w warunkach zbliżonych do naturalnych? Odpowiadamy, że wybieramy się tam właśnie w weekend. Ten taksówkarz jest niezwykle rozmowny, ba, pozwala sobie nawet na odważne jak na Singapurczyków porównania. Mówi mianowicie, że Singapur to jeden wielki ogród zoologiczny, w którym mieszkańcom żyje się komfortowo, ale mają ograniczoną wolność: odtąd-dotąd. Każdy ma zapewnione bezpieczeństwo, mieszkanie, jedzenie, pracę, ale każdy ma też wszczepioną od urodzenia autocenzurę, co mu wolno a czego nie wolno.

Taksówkarz wie, że z Polakami można pożartować. Był kiedyś marynarzem, pływał po całym świecie i ma jak najlepszą opinię o naszych rodakach, bo wypił z nimi niejedną wódkę. Teraz należy do ogromnej rzeszy taryfiarzy w tym mieście. Jest tu około 25 tysięcy taksówek. Poruszanie się nimi stało się zresztą najpopularniejszą i stosunkowo tanią formą komunikacji.

W końcu dojeżdżamy do Bukit Timah, choć z małymi kłopotami, bo mój wnuk Jaś nie znosi zbyt długich przejazdów autem i na znak protestu – jak zwykle wymiotuje. Pakujemy go do wózka i pchamy pod „górkę” Bukit Timah. Jest to najwyższe w Singapurze wzniesienie na granitowej skale (167 metrów). Co prawda córka Aśka ostrzegła mnie, że te 167 metrów w Singapurze ze względu na upał i wilgotność „pójdzie mi w nogi”, ale ja, niedzisiejszy piechur po tatrzańskich szlakach, puściłem to mimo uszu. Jak się okazało później, godzinna wspinaczka z wózkiem pod górkę miała swoje konsekwencje, bo bolały mnie jeszcze przez kilka dni mięśnie i gdyby nie tradycyjny refleksologiczny masaż stóp w tutejszym gabinecie odnowy, to kto wie, jak długo trwałoby dochodzenie do siebie.

30 stopni C i 95 proc. wilgotności (prawie przez cały rok) dają się przybyszowi nawykłemu do czterech pór roku mocno we znaki. W godzinach południowych trudno jest chodzić po ulicach, nogi mięknią, stają się jak z waty. Słońce pracuje tu na zdwojonych obrotach od wschodu do zachodu, więc człowiek po spacerze jest spocony, jakby wyszedł z sauny, pralni lub piekarni i szuka ochłody w klimatyzacjach, które są wszędzie, w każdym budynku, pomieszczeniu, aucie, sklepie, tak samo jak baseny, nieodłączny element każdego hotelu czy kondominium. Singapurczycy przebywają naprzemiennie albo w tropikalnym upale, albo w klimatyzowanej wialni i kichają, kaszlą nie mniej niż moi rodacy nad Wisłą w październikowe chłody...

c.dn.